



Nr. 35.

28-go Sierpnia

1913.

AKTORSKIE ŻYCIE.

W pewnym lokalu w Chicago przy ulicy Milwaukeekiej stoi przy bufecie poważny, sądząc z dobrze zaokrąglonego brzuszka, obywatel, popijając piwo, bo też skwar jest nielitościwy. Nagle roztwierają się drzwi i wbiega jakieś dziwne indywiduum. Postać wysoka, chuda, tak iż zdało się, jakoby kości danego osobnika uderzały o siebie, wydając przytem jakiś dziwnie żaloszny ton, charakterystyczny kościotrupom. Obleczone był ten osobnik w jakieś ubranie a raczej szmaty nieokreślonego koloru, grubo i obszernie na niego, tak iż robiło to wrażenie, że ktoś powiesił na nim swoje ubranie, jakby na wieszadle. Natomiast koło szyi powiewał fantazyjnie zawiązany czarny krawat, a bujnie rosnąca czupryna zwijająca się w artystyczne loki, wskazywała na to, iż człowiek ten absolutnie miał coś do czynienia ze sztuką. Przypuszczenie to jednak zmieniało się w pewność, gdy kto spojrzał na twarz jego, ruchliwą, pełną rozmaitych zmarszczek na oczy żywe, płonące jakimś dziwnym ogniem.

Przybysz zażądał szklankę piwa i jednym susem znalazł się przy sucie zastawionych zakąskach, robiąc wśród nich prawdziwe spustoszenie. Znikały z talerzy przenajrozmaitsze mięsa, śledzie, kielbasy, szynki, sery, ku olbrzymiemu zdziwieniu „wajtra“ (bufetowego), który krając właśnie świeżą przekąskę, wstrzymał się w swej czynności i z szeroko rozwartymi oczyma przyglądał się potwornemu niszczeniu rzeczonoego przez przybysza, o! — nawet gospodarz, opasły jakiś Niemiec, widząc to skrobał się w głowę, w duszy przeklinając amerykański zwyczaj dawania bezpłatnych przekąsek do jednej nawet szklanki piwa za nikla.

Ów pierwszy obywatel bacznie też przyglądał się przybyszowi, który tymczasem, bynajmniej nie zważając na wrażenie, jakie wywarł w lokalu — dokonawszy uczty ku niezmiernej radości gospodarza udał się ku bufecie, by poplukać jadło chłodnym piwem. W tem zaczął go ów obywatel stereotypowym amerykańskim:

- Hallo John!
- Hallo Fred!
- Co ty tu porabiasz?
- Jak widzisz chcę się napić piwa.
- Ależ nie o to pytam; skąd się tu wziąłeś?

— Z countrów. (Z obwodów pozawielkomiejskich.)
 — Tak? Toś ty był w countrach.
 — Tak jest.
 — A coś tam robił?
 — Ha! Dawałem przedstawienia.
 — Toś był może dyrektorem?
 — A tyś co myślał, he?
 — No, no! A jakżeż ci się tam powiodło?
 — Jak? Wyśmienicie, przecież widać to po mnie! — odparł z dumą dyrektor, z gracyą dłużyąc w zębach.

Obywatel obrzucił go krytycznym spojrzeniem, pokiwał głową, uśmiechając się zlekka, i zapytał:

— Jakże to tam było? Opowiedz.

— Dlaczego nie? Ale całej mojej peregrynacyi nie będę ci opowiadał, bo i poco? Wystarczy ci, gdy opiszę ostatnie moje przedstawienie, a to da ci miarę i pojęcie o moich przejściach. Otóż posłuchaj: Los zagnał nas, to jest mnie i moich „artystów“ do miasteczka N. N. Wyobraź sobie miejscowość, o jakimś może tysiącu mieszkańców. Chałupy rozstrzelone jedna od drugiej o pięćset kroków, bez żadnych ulic w naszym pojęciu, jakieś tylko ślady drogi i najrozmaiciej poplątanych ścieżek, moc błota, jakieś strumyki i bagna, tu i owdzie jakieś drzewo. Na jednym końcu miasteczka była fabryka sztucznego nawozu, na drugim garbarnia. Gdy do głębi wnętrzości wzruszony fetorem fabryki sztucznego nawozu uciekasz od niej, uderza twoje powonienie smród ziejący z garbarni, formalnie obuchem bije cię w łeb, zaś w samym środku miejsciny, łączą się te dwa fetory w jakąś przekropną nie do opisaną całość. I niema na to rady, niema schronienia. — Najpierw buntują się twoje wnętrzości, potem ty sam się wściekasz, chodzisz jak obłąkany, nie możesz nic jeść, bo wszystko cuchnie, wreszcie kładziesz uszy po sobie, przyzwyczajasz się. I co powiesz na to, gdy stamtąd wyjechałem — było mi z początku czegoś brak. Człowiek do wszystkiego przywyknie. Ale, do rzeczy. W tej oto przepięknej, pachnącej miejscowości zapowiedziałem jedno przedstawienie, a po przedstawieniu bał, jak to absolutnie wymaga zwyczaj, który prawie, że w prawo tu przeszedł. Hala była ładna i dosyć obszerna, a nawet i scena znośna, tylko jeden jedyny miała błąd, że nie było żadnych, ale to absolutnie żadnych dekoracyi, ba nawet mebli nie było; kurtyna zaś, zrobiona z prze-

ścieradeł, była za wąską, tak iż po bokach nie sięgała do obrazowania sceny. Co robić? Trudno. Trzeba grać absolutnie, bo „monety“ nicma. W dziennej sprzedaży sprzedano trzy bilety — znakomite widoki na wieczór, boć to sobota, a w sobotę każdy otrzymuje zapłatę. Ja z żoną zamieszkaliśmy u pewnej kobiety, starej skąpicy, co choć miała cztery domy, sama mieszkała w norze ciemnej i brudnej, jedząc i mieszkając u niej na kredyt.

Nadszedł wieczór. Artyści wszyscy już w garderobach ubrani, każdy w cichości mruczy swą rolę, żona siedzi przy kasie, w której co chwila podchodzą najrozmaitsi kupując bilety. Dookoła słyszysz tylko angielski język, czasami niemiecki — o polskim ani słychu ani dychu.

— You speak polish? (mówi pan po polsku) — zaczepiam wreszcie zrozpaczonego jednego z kupujących bilety.

— A dyć, jo Polak z Galicyi, — odpowiada mi tenże natychmiast.

— Tu mało musi być Polaków, — indaguję dalej.

— Mało? hahaha! — odpowiada mi ze śmiechem, — mało!! A dyć to wszystko są Polaki, naokolusieńko.

Tymczasem mruga na mnie żona, że może byłby już czas rozpocząć przedstawienie, gdyż to już dziewiąta, a mieliśmy rozpocząć „punktualnie“ o ósmej. Taka to reguła, od której ci nie wolno odstąpić pod żadnym pozorem. Jeżeli zapowiesz przedstawienie na godzinę ósmą, to bądź pewny, że publiczność polska zacznie się schodzić dopiero o trzy na dziewiątą a rozpocznieś grać o dziesiątej.

Z lekkim sercem, boć w kasie jest już trzydzieści dolarów, choć kosztów będzie dwa razy tyle, a publiczność na wskroś prawie polska, biegnę do garderoby. Przechodząc przez salę, widzę, że kilka par już tańczy, co wprawdzie nie bardzo korzystnie świadczy o zamiłowaniu moich słuchaczy do sztuki, ale miejmy nadzieję, gdyż gramy patriotyczną sztukę. Kurtyna, kwicząc i jęcząc powoli podnosi się do góry — na sali hałas, krzyki, śmiechy, puszczanie żabek, wołania o spokój — stoję chwilę milcząc, czekam aż się uspokoją — dyabła tam, zaczynam mówić, chcąc swym głosem zagłuszyć hałasy. Czem oni głośniejsz gadają i hałasują, tem ja mówię głośniejsz, tak, iż wreszcie wszyscyśmy wrzeszczeli jak opętani — publiczność i aktorzy. Powstał piekielny hałas — nam aktorom i aktorom oczy wyłaziły, żyły się przeżyły, jak posttronki, twarze oblekły się ciemną purpurą!...

Do tego wyobraź sobie scenę, bez kulis; gołe — białe ściany, a po obu stronach wejścia do garderób z napisami po prawej: „dla panów“, a po lewej: „dla panień“. Każde ukazanie się aktora następowało wprost z garderób na scenę. Królewski był obraz, jak to oni majestatycznie wchodzili i wychodzili z tych garderób. Szekspirowskie czasy. Wywieszona tabliczka oznajmiała każdym razem, co scena przedstawia, to „pałac“, to „ogród“ i tak dalej. Zapasy ciągle się wzmagaly, bo jedna partya przeszkadzała, druga uspokajała, aż wreszcie obie partye porwały się za czuby i nuże się grzmocić. Na to wpadają policyjanci z pałkami: krzyk, kwik, ryk, a tam na scenie stoimy my — aktorzy i kończymy na najwyższych tonach sztukę, krzycząc, że o mało nas szlak nie trafił.

Tak się skończyło to przedstawienie. Jeszcze tego samego wieczora rozmawialiśmy wszyscy na mię, bo ani tonu nie mogliśmy wydobyć z gardzieli, takeśmy pochrypli. Niemota ogólna opanowała w mieście wszystkich na całą niedzielę. W poniedziałek trzeba było wyjechać, a tu ci niechce mnie i żonę puścić ta baba

skąpica, ale grozi nam zajęciem rzeczy. Była w prawie, bo myśmy jej winni za utrzymanie, ale cóż robić, kiedy nie było czem zapłacić. Co biedaka obchodzi prawo? Rzeczy mieliśmy popakowane w kuferkach i kufrach, lecz ani sposób ich wynieść, bo babsko-smok stoi we drzwiach i odgraża się. Podczas gdy my, ja i moja żona najśłodziej szeptem, z powodu chrypy, do niej przemawiamy, zajeżdżają moi koledzy wozem ze swoimi rzeczami, by zabrać i moje kufry, lecz jakby, to zrobić? Zaklinam babę na czem świat stoi, by ustąpiła; ani rusz! — Nagle strzela mi pomysł do łba. Popatrzyłem znacząco na żonę i rozpoczynam się klócić z nią. Klótnia zaczyna przybierać niezwykle rozmiary, żona się rozplakała, ja się wciekam, skąpica nas uspokaja, żona dostaje spazmów, a ja szalu i z ruchem wściekłego Otella porywam jeden z jej kuferków i wyrzucam go przez okno, krzycząc:

— To tak! Wynoś mi się z mojego domu!

— Co? To twój dom? — woła żona, — nieprawda, mój! To się ty wynoś i przy tych słowach bierze mój kufer i buch przez okno.

— Ach! — wołam w najwyższej pasyi — Ty śmiesz?! i łap za duży kufer, żona bierze go z drugiej strony, wołając:

— Zostaw, to mój kufer.

— Tak jest właśnie, że twój, wyrzucam go z domu, i niby szamocąc się, taskamy precz, ten kufer przez okno.

Teraz żona przybiera postać fury i nuże wyrzucać, tobół za tobółem, w czem jej naturalnie sekunduję dzielnie. Gospodyni płacze, chce nas uspokoić, żonę bierze w obronę, pomstuje na mnie. A tymczasem moi koledzy pochwytali rzeczy za oknem, zabrali na wóz; gdyśmy nareszcie wszystko w ten sposób wyekspedowali, porywam żonę w pół, niby do ostateczności doprowadzony i buch ją za okno, gdzie ją koledzy przytrzymali. Skąpica mdleje, a ja hop za rzeczami i za żoną i takeśmy się szczęśliwie i spokojnie wydostali z tej uroczej mieścinki!...

Powiadam, niema to jak aktorskie życie!



Z MYŚLI OBLĄKANEGO FILOZOFA.

Gdybym w rękach swych miał władzę
Nad światów naszych tysiącem,
Wtedy bym całkiem inaczej
Postąpił sobie ze słońcem.
Grzać dalbym mu tylko w zimie —
I dobrze bym zrobił przecie,
Bo chyba każdy mi przyzna,
Że chłodek jest miły w lecie.
Świecić kazałbym mu w nocy —
Racę w tem miałbym przednie,
Bo i tak każdy mi przyzna,
Że i tak widno jest we dnie.



LEKARZ I PACYENT.

— Pański żołądek jest zupełnie zepsuty, pan musiał za wiele zjeść.

— To nie, ale w ostatnim czasie uczyły się moje trzy córki gotowania.



SROKA.

Przez policyę ścigana
zna złodziejskie arkana.

Przedmioty lśniące kradnie
i chowa w grzędzie na dnie.

Długo z tą sztuką podłą
wybornie jej się wiodło.

Aż schwytaną nareszcie
osadzono w areszcie.

Nie zrudziła się wcale
zamknięta w kryminale.

Kto nie jest polityczny.
los ma niezbyt tragiczny.

Jakoś jej się udało
uciec z życiem i chwałą.

Sił jej w więzach przyrosło
wzięła się za rzemiosło.

Ściągała w biały dzionek
portmonetki z kieszonek.

Również genewskiej marki
lubiła kraść zegarki.

Coraz śmielej, zuchwalej
szła w swej praktyce dalej.

Złapano ją w kościele
gdzie skradła srebro wiele,

Na szczęście był naoczny
świadek okółotoczny.

Po świętokradztwie takim
zajęto się złym ptakiem.

Dno przetrząsnawszy gniazdka
wzięto ją do uczestka

I srogi wyrok dano,
aby ją odesłano

Po tygodniu więzienia
na miejsce urodzenia.

Odtąd w rodzinnym kątku
przychodzi do majątku.

—★—

NIEZNACZNA.

— Jaka jest też różnica pomiędzy Germanami
a Słowianami.

— Nieznaczna, można powiedzieć drobno-rachun-
kowa, bo Germanie biją razem, a Słowianie dają się
tłuc pojedynczo.

—★—

TROS Kliwość.

Pomiędzy zbójami, czatującymi na upatrzoną
— Mówiłeś, że człowiek, którego mamy zamordo-
wać i obrać z pieniędzy, będzie przechodził tędy o 11
w nocy.

— A tak. Już wpół do dwunastej. Obawiam się,
czy go nie spotkał jaki wypadek!

—★—

JEGO STANOWISKO.

Lekarz: Nie rozumiem, Janie, co wy się tak
długo namyślacie. Przecież już wam powiedziałem, że
albo sobie dacie odjąć rękę, albo umrzecie.

Jan: A no, proszę pana Doktora, trudno się tam
nie namyślać, kiedy sobie właśnie nową parę rękawic-
czek sprawilem.

—★—

W RESTAURACYI.

Gospodarz (do kel-
nerów): Bądźcie dziś
wyjątkowo grzeczni i u-
służni dla gości!...

— Dlaczego proszę
pana?

— Mięso się zepsuło.

DOBRY SOBIE.

(Dyalog między maj-
strem a uczniem.)

— Panie majster, by-
tu sędzia.

— Który?

— Ten, któremu wczoraj
odniosłem nowe trze-
wiki!

— A cóż chciał?

— Wymyślał strasz-
nie, że ledwie je dzi-
wiał, już się rozlażył.
Chciał pana majstra bić!

— I cóż ty na to?

— A no nic! Powie-
działem mu, że bard-
zo żałuję, ale pana majstra
nie ma teraz w domu!



Włoch, Niemiec, Austriak, Francuz, Anglik i Rosyanin mozolą się, aby wy-
dostać Turka z Adrianopolu, zajętego podczas wojny Bułgarów z Grekami i Serbami.
Wysłali ostatnie **zawezwanie** — ultimatum — do niego — ale czy to pomoże?

DOWCIPNY OGRODNIK.

We wsi Dalewicach był ogrodnikiem dworskim Ignacy Pietruszyński, który znał nie tylko dokładnie naukę ogrodnictwa, ale słynął prócz tego z dowcipu. Ogród pod jego zarządem był piękny i przynosił wielkie korzyści. Pan Działowiecki, dziedzic Dalewic, był też bardzo z Pietruszyńskiego zadowolony, tem więcej, że lubił jego wesołość i dowcip.

Razu pewnego było w Dalewicach wielu gości, którzy nie mogli się dosyć nachwalić ogrodu.

— Bo też moi państwo, — mówił pan Działowiecki, — nie dziw, że mój ogród tak powabny, kiedy mam tak dzielnego ogrodnika. On każde nasienie pozna, choćby nie wiem z jakiego kraju. Otóż tu dostałem niedawno kilkanaście drobnych ziarenek, zobaczcie, że Pietruszyński zaraz nas objaśni, z jakiej rośliny pochodzą.

Nie były to jednakże ziarnka roślinne, tylko ikra śledziowe. Pietruszyński przypatruje się, aż nareszcie powiada, że musi je przez mikroskop zobaczyć. Patrzy i patrzy, ale trudno mu było rozpoznać, co to za ziarnka; na koniec powiada:

— Już wiem, jest to u nas nieznaną rośliną, wprowadzoną z daleka. Po łacinie nazywa się „*Nimea glupca*“.

Na to pan:

— A co myślisz, gdyby je zasadzić w naszym ogrodzie, kiedy zacznie kiełkować?

— W tydzień już będą kiełki przynajmniej na półtora cala.

— Dobrze, — mówi pan Działowiecki, — a zatem za tydzień czyja wola i ochota, proszę mnie odwiedzić, abyśmy tę dziwną roślinę zobaczyli.

Za tydzień zjechało się do Dalewic kilkanaście osób, bo wszyscy byli ciekawi co zrobi ogrodnik, gdy nie urośnie. Pietruszyński prowadzi gości i wskazując na cztery szklane klosze mówi cichym głosem:

— Otóż tam już kiełkuje „*Nimea glupca*“.

— A jakbyś ją pan po polsku nazwał, — zapytał jakiś gruby jegomość, uśmiechając się znacząco.

— *Niema głupich*, — odrzekł filuternie ogrodnik.

Wtem po zdjęciu przykryw całe towarzystwo spojrzyło i co widzi? oto cztery śledzie, z których dwa łbami, a dwa ogonami z ziemi wystawały.

— Co prawda, — rzecze Pietruszyński, — popełniłem błąd wielki, gdyż źle wsadziłem dwa ziarnka i dlatego wychodzą ogony. Na drugi raz się poprawię.

Goście w śmiech serdeczny, a pan Działowiecki rzekł po cichu:

— Trafiał frant na franta i wyciął mu kurant!

Jednakże nie gniewał się, owszem ofiarował Pietruszyńskiemu dwa talary i butelkę wina.



Pewna dama, która należała do towarzystwa opiekującego się zwierzętami, będąc napastowaną przez muchę, zawołała na służącego:

— Janie! złap to zwierzątko, ale ostrożnie, żebyś mu krzywdy nie zrobił, i wypuść za okno.

Jan złapał muchę na nosie swej pani, niesie ją do pana, otwiera je i powiada:

— Wielmożna pani, na dworze deszcz pada, możeby jej dać parasol?

CO ON DOSTAŁ.

— Panie prezesie, proszę pana o dymisyę, — mówił urzędnik pewnego biura do swojego zwierzchnika.

— Oóż pana skłania do tej prośby, panie Piórkiewicz?

— Oto to, że wszyscy moi koledzy dostali gratyfikacyę, a ja jeden nic nie dostałem, prócz suchot, których się nabawiłem przy pracy biurowej.

— No to mój panie nie narzekaj, zawsze przecież u nas coś dostałeś.



JEST PRZECIE RÓŻNICA.

Mąż: Powinnaś naśladować kurę i pilnować dzieci.

Żona: A ty koguta i pilnować żony, nie biegać za innymi.

Mąż: Kiedy kogut biega za innymi kurami.

Żona: Aleś ty nie kogut.



GRZECZNOŚĆ DLA DAM.

Nauczyciel wyklada historię o raju i pyta:

— Dlaczego wąż kusił Ewę, a nie Adama?

Milczenie. Nareszcie jakiś malec podnosi rękę do góry i odpowiada:

— Ponieważ paniom należy się pierwszeństwo.



Wojtek siedział po szynach kolei żelaznej. Drożnik spotkał go i wołał, aby zaraz na bok ustąpił, bo wtedy chodźć nie wolno.

— Co! nie wolno? — zawołał Wojtek, — mnie wolno, bo mam bilet i mógłbym nawet koleją jechać, tylko że się spóźniłem.



NA PODWÓRZU KOSZAROWEM.



Podoficer: Przeklęty rekrucie, nie przechylaj tak karabina w tył; to ci to musi zdrowy rozsądek ludzki dyktować, skopie jeden!